

# Do zajezdni

24 grudnia 2007

Kiedy przyjechał pociąg, wsiadłem bezwiednie. Cały pociąg został przeze mnie zarezerwowany. Nie było zniżki dla dzieci. Żadnych ulg. Cena biletu: życie.

Nie zwróciłem uwagi na lokomotywę, nie wiedziałem jaką siłę miała, czym była. Doczepiony do niej jeden wagon musiał mi wystarczyć.

Nie usłyszałem zatraskujących się za mną drzwi.

Pociąg ruszył.

Miejsce jedno. Nad nim karteczka: ni początek – ni koniec. Siedzenie przy oknie – ucieszyłem się, choć na początku panowała ciemność.

Na tym dworcu, właśnie w tej miejscowości, w tym czasie przyszedłem na świat.

Zrobiło się widno.

Ślepy byłem i nieświadomy.

Przez całą podróż dosiadały się różne istoty, lasy, jeziora, domy, więzienia, ogniska – towarzystwo. Wszyscy, którzy wsiedli do mego wagonu, począwszy od rodziców a kończywszy na psie, którego pochowałem dwa kroki na zachód od tej olchy, wszyscy wysiedli na swoich stacjach, w swych miejscowościach, w swym czasie.

Młodość – jeszcze lakierem pachniało w wagonie i okna względnie czyste. Zwrotnice, zmiana torów. Raz wyprzedzałem te stare gruchoty, tych bezmózgowców, potem znów tyły. Wciąż wydawało mi się, że za wolno.

Rewolucja! Anarchia! Liberalizm!

Było dokąd – naprzód!

Już przez dłuższy czas wiara jechała ze mną. Próbując dostojnie jak wielka dama przechadzać się po wagonie, musiała z obawy przed upadkiem coraz to opierać się o ściany. Jazda była gwałtowna i szybka.

Miłość dosiadła się – właśnie tam... Szałałem, bo kochałem ją i na zawsze, niezniszczalnie, jedyną. Wyjąc z okna z bólu i rozkoszy, zachłysnąłem się i nienawiścią. Podzieliłem całość na dobro i zło, takie to było proste.

Niszczyć co przeciw mnie, w popielniczce zgasić, w kiblu spuścić, przez okno na wiatr.

Widziałem, że o tam, za szybą zawsze coś nowego, co przyprawiało o zawroty głowy. Tam chciałem być, wziąć udział w tej demonstracji, chamskiej popijawie, zakupach. Wtedy rzucałem się na hamulec ręczny i pociąg z piskiem stawał. Czasem hamulec widocznie nie działał, bo pociąg jechał dalej, budząc tylko tęsknotę i złość.

Ale kiedy się zatrzymywał, w tej upragnionej miejscowości, w tym czasie, to było szczęście. Nic nie żałowałem, nawet kiedy przychodzili potem konduktorzy i kazali płacić: przekłeta jurysdykcja, która pijana sama potykała się o własne paragrafy i często do mnie nawet nie docierała, gdyż krztusząc się prawem upadała na zbity ryj, trzęsąc się w konwulsjach. Ci kochani grozili palcem, odwracali się, księża przeklinali, policja szantażowała. Wszystko to można było wytrzymać. Gorzej było z kierownikiem pociągu, którego nigdy nie widziałem, ale czułem, że był: sumienie dręczyło, piekło jak zgaga. Słyszałem, że niektórym ludziom udaje się jakoś odizolować go, zagadać, czy nawet zabić. Mnie nie udało się to nigdy, choć marzyłem czasami o wewnętrznej ciszy, pustce. Bo widziałem, jak ci, którym udało się wyciszyć, zjednać sobie kierownika mieli się lepiej, lżej. Ich pociągi były zewnętrznie jakby ładniejsze, nie odrapane. Kiedy tłumy szpetnych wagonów toczyły się bocznymi torami, tamte piękne jechały z dumą

błyszczącymi szynami. Ci bogaci i ci biedni – od zawsze.

Znów pociąg ruszał i trzeba było wsiadać. Raz szybciej, to znowu wolniej – iluzje czasoprzestrzeni.

Monotonny turkot, rutyna.

Mijanki innych transportów z życiem i pracą.

Pieniądze, które witałem w tym miejscu, w tym czasie, już na najbliższych stacjach mnie opuszczały.

Pamiętam, było to zimą. W wagonie panował chłód. Przetarłszy dłonią zaparowaną szybę, gapiłem się na goły świat. Z początku nie zauważyłem, że na równoległych szynach pędzi pociąg uśmiechając się do mnie. Jakiś zbieg okoliczności, przypadkowe zwrotnice zbliżyły nas do siebie.

Nasza droga... Nie czułem się jak podmiejski, prowincjonalny pociąg. Miłość uczyniła ze mnie jakąś klasę luksusową – InterCity, ekspres. Dwie lokomotywy połączone miały więcej siły. Nasze wagony pomalowaliśmy w naszych kolorach.

Spłodziliśmy parę nowych pociągów – ach, jaka miękka jeszcze blacha, te maleńkie kółeczka, reflektorki.

Mijały lata na szlaku ekspresowym, zawsze pod napięciem.

Rozwidlenie.

Pociągi rozjechały się. Każdy z ulgą wypuścił parę, zmęczony zgrzytem drugiego.

Cichy rozjazd. Mimo ulgi nie było żadnej radości. Nie mogliśmy powiedzieć dlaczego. Zbędne słowa.

Gówno.

Tunele pełne bezradności, podłości coraz częściej się przytrafiały. Przede wszystkim zawsze ciemne.

Byłem ślepy.

Marysia wsiadała często. Pozornie niezbyt piękna, lecz dym jej koił. Prowadziła mnie znów w butach dziecka, niewinnie, za rękę. Te tunele wykute w zimnych skałach, klaustrofobie i automatyzm zwyciężymy. Obiecywała. Wiecznie głodne ego miało mieć znów pełny brzuch. Nie chciałem się przebudzić.

Zmęczenie wszystkim i niczym.

Jeszcze trzeba było dalej. Przez brudne okna widziałem coraz to nowsze modele. A te stare typy to gdzie, myślałem, na złomowisko? A ja gdzie?

Blacharka się kruszyła.

Mgła.

Teraz nagle zacząłem się przejmować rytmem silnika, w którym rytmu zaczynało brakować.

Dlaczego?

Taka kolejność tych wszystkich kolei?

Chciałem jeszcze coś powiedzieć.

Coś zrobić.

Nie zdążyłem.

Spóźniłem się. Na samego siebie? To jak to? Odjazd? Był wcześniej?

Poczułem szarpnięcie, kiedy pociąg nagle się zatrzymał. Wiedziałem, że muszę wysiąść.

Jeszcze skurcz, ale to tu, w tym miejscu, w tym czasie.

Nie byłem sam. Tak dla otuchy byłem jednym z nich. Wykolejeniec.

Autor: Paweł Lindner

Źródło: [Fabrica Librorum](#)